Nr. 20. We Lwowie dnia 16. maja 1897. Rok 5.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ruch ludowy
w pruskim zaborze.

(Ciąg dalszy.)

Prześladowanie Kościoła skończyło się; duchowieństwo w zapale opozycyjnym ochłodło i pociągnęło za sobą szlachtę, która już niegdyś pro publico bono — na jego rzecz zrzekła się swej samodzielności politycznej. — Niepamiętna tego, że świeżo przeciw niej wymierzono ustawy, że komisja kolonizacyjna pracuje nad jej wydziedziczeniem – chwytała się lada błędnego ognika, lada pozoru złudnego, aby uwierzyć w lepszą przyszłość, na którą pracować nie potrzeba. Był to nowy objaw lekkomyślności, łatwowierności i lenistwa, tych trzech wad, które od dawna, jak rak, toczą i do zguby wiodą tę klasę narodu. Nastała era polityki ugodowej lub raczej polityki dworskiej, gdyż nie na żadnych politycznych krokach, lecz na stosunkach z dworem budowano kruche zamki na lodzie. Polityka ta prowadzona wbrew woli ogółu, stworzona w Berlinie, lecz zupełnie nie popularna w kraju — zbankrutowała ostatecznie, a wraz z jej upadkiem znikł ostatni pozór wyższości, na której warstwa dotychczas kierująca mogła swą przewagę opierać. Umysłowo zaniedbana i zacofana, zrujnowana ekonomicznie, mocno przetrzebiona przez komisją kolonizacyjną szlachta poznańska skompromitowała się po prostu przez politykę dworską i dziś już nawet na pociechę swoją powiedzieć nie może: „tout est perdu sauf l'honneur“ — bo i honor w przedpokojach berlińskich mocno nadszarpnięty został. Z roli nauczyciela i kierownika wobec tego zrezygnować powinna, a że zrezygnować nie chce, to zresztą jest rzeczą naturalną. Kto przywykł rozkazywać nie lubi słuchać, choć kto przywykł słuchać, ten bardzo tęskni za rolą rozkazy wydającego.

Jeżeli nazywaliśmy szlachtę — warstwą kierującą — to nie uwzględnialiśmy chwilowo duchowieństwa, którego ona nieraz, w ostatnich czasach bywała tylko narzędziem. Wpływ jego wzmagał się nieustannie w czasie walki kulturnej, ogarnął wszystkie sfery życia publicznego i wszystkie opanował. W przeciwieństwie do szlachty — duchowieństwo materjalnie zyskało w tym czasie. Majątki kościelne, doskonale administrowane przez władzę świecką, przeszły na nowo do rąk księży, którzy dziś stanowczo najbogatszą klasę naszego społeczeństwa stanowią. Trzeba by być zupełnie naiwnym i nie znać życia, żeby mniemać, iż ta okoliczność w sprawach publicznych pozbawiona jest znaczenia.

Choć jednak kler poznański wzrósł w przewagę, w narodowych sprawach liczyć na niego nie można, gdyż wpływ jego może się stać nieraz wprost ujemnym, na co cała dotychczasowa działalność arcybiskupa Stablewskiego nie mało dostarcza dowodów, nie mówiąc już o tych jawnych wprost próbach germanizacji przez kościół, jakie dokonywano na Szląsku i w Prusach Zachodnich.

Poza szlachtą i duchowieństwem jest jeszcze inteligencja miejska, w pruskim zaborze bardzo nieliczna. Inteligencja ta nie stanowi żadnego stronnictwa i nie jednoczy się pod wspólnym sztandarem.

Brak jej zupełnie poczucia swej odrębności, częścią ciśnie się pod skrzydła szlachty i duchowieństwa — częścią znów dość platonicznie sympatyzuje z ruchem ludowym. Wszystkie te trzy warstwy stanowią w naszem społeczeństwie liczebnie drobniutką mniejszość — a w obecnych warunkach jestto nawet rzeczą pocieszającą, gdyż jedynym żywiołem zdrowym — niewykolejonym, pewnym pod względem narodowym i pełnym sił żywotnych jest tylko i wyłącznie lud poznański. Powołany do życia politycznego przez konstytucję cesarstwa niemieckiego, uświadomiony przez szlachtę, wyćwiczony do boju przez duchowieństwo za walki kulturnej—lud ten, nie mając powodu przeciwstawienia swego interesu interesom warstw innych, dość długo w znacznej swej większości nie dążył do wyodrębnienia się i skorzystania ze swej przewagi liczebnej i siły.

Maszerował zgodnie i solidarnie pod komendą drugich i służył im za narzędzie. Ponieważ jednak coraz bardziej się uświadamiał, ponieważ nie był narzędziem zupełnie ślepem, zaczął się więc i wśród niego budzić duch krytyki i pragnienie samodzielności. To pragnienie zresztą rozbudzono w nim. Znaleźli się ludzie, a raczej znalazł się człowiek, który zdawna położenie obecnie przewidywał i wprost obliczył, że przyjdzie czas, gdy całą obronę naszej sprawy, wyłącznie na ludzie oprzeć będzie trzeba, że inicjatywa i kierunek w jego ręce przejdą, gdyż innych kierowników zabraknie. Ponieważ zaś, jak sądził, kiedyś i tak lud zostawiony będzie samemu sobie, trzeba aby zawczasu sam o sobie radzić się nauczył.

Był to, jak widzimy, rozumny pedagog i zdolny polityk — gdyż trafnie przyszłość odgadnął. Gdy jednak zaczęły się tu i owdzie jego nauki przyjmować, gdy lud objawiał od czasu do czasu, że nie dosyć mu głosować i uchwalać to, co inni obmyślą, lecz sam także myśleć i dyskutować pragnie, przyjmowano to z wielkiem oburzeniem, jak gdyby jakieś buntownicze zachcianki. Krótkowzroczność naszych polityków uważała za zgubę kraju to, co miało być dla niego deską ratunku, a wciąż szerząca się wśród t. zw. inteligencji ciemnota kazała te próby samodzielności zaliczać do socjalistyczno-anarchistyczno-komunistycznych zamachów.

Nawiasowo zauważyć należy, że dążności „Orędownika“, który jest głównym organem ruchu ludowego —i dziś jeszcze znacznie mniej mają poparcia wśród ludu wiejskiego, niż wśród miejskiego, że hołdują im tu i tam głównie zamożniejsze i bardziej oświecone jednostki. Więcej w stronnictwie tem widzimy rzemieślników i drobnych kupców, niż robotników, więcej zamożnych włościan, niż ludności bezrolnej. Nie jestto stronnictwo c h ł o p s k i e, gdyż przeciwnie chłopi, będący pod bezpośrednim wpływem panów, tam gdzie we dworze polskiego pana nie zastąpił Niemiec, trzymają się swych dotychczasowych kierowników, nie jest też to stronnictwo robotnicze, gdyż liczy w swych szeregach tyle pracodawców, co pracujących i bynajmniej na gruncie ekonomicznej walki klas nie stoi.

Wszelkie insynuacje, zarzucające ruchowi ludowemu pokrewieństwo z ruchem socjalistycznym, są zupełnie z palca wyssaną bajeczką. W tym kierunku istotnie pisma konserwatywne tutejsze i poznańskie, nie liczą się ani z rzeczywistością ani z własnem sumieniem i okazują genjalną pomysłowość w tworzeniu coraz nowych kombinacji. Zdarzyło mi się np. czytać niedawno, że ruch ludowy w pruskim zaborze powstał wtedy, gdy socjaliści niemieccy postanowili chłopów wciągnąć do swego stronnictwa: „Role rozdano, a pan Szymański podjął się agitacji na Księstwo Poznańskie“. — Nie mówię tego w obronie ruchu ludowego, ani pana Szymańskiego, nie przejęłam się tak dalece konserwatywnemi pojęciami poznańskiemi, aby sądzić, że to po prostu wstyd być sosna... i nic więcej.

Krzywą dróżyną.

OBRAZEK.

I.

Pucułowata i czerwona Nastka, z suto namaślonym a niemiłosiernie ciasno splecionym warkoczykiem, trzymając w jednej ręce ogromny, strzępiasty bukiet, a drugą cisnąc wykrochmalone spodniczyny, trzy razy już uchylała drzwi od mieszkania „panny Hali“ i przymykała je znowu z wyrazem zdumienia i niepewności. „Panienka“ siedziała już od półgodziny chyba w najdalszym kącie swojej nauczycielskiej izdebki, skuliwszy napółdziecinną jeszcze swą postać, objąwszy kurczowo kolana obu rękami i patrząc wprost przed siebie szeroko otwartemi źrenicami...

Nie doczekawszy się żadnej zmiany, Nastka ustawiła bukiet swój w glinianym dzbanku na półeczce w sionkach i pomknęła, jak strzała, do chaty.

Istotnie Hala wprost skamieniała z przerażenia, a przeraziła ją jedna tylko myśl własna... i nic więcej. Objęła ją taka trwoga i taki strach naiwny, jak wówczas, gdy jeszcze dzieckiem będąc, czytała po raz pierwszy balladę Mickiewicza:

Ledwie to rzekłem, aż straszna martwica...

Nawet tak samo obejrzała się dokoła zlęknionym wzrokiem i drgnęła, kiedy blady płomyk świecy, mignąwszy od jej poruszenia, zachwiał wiotkie cienie na ścianach szkolnej izdebki. Teraz... o mój Boże! Teraz ona sama, to biedne dziewczę — dziecię, ta pieszczotka kapryśna, rozmarzona i wrażliwa — przywdziać ma postać upiora! Hala straszną ma zostać martwicą, mrożącą ludzi swym widokiem... wprawdzie przez krótką chwilę tylko, na jedno okamgnienie, lecz była przeświadczoną, iż ta komedja prawdy będzie i dla niej również przez chwilę prawdą, ścinającą krew w żyłach... Prócz tego wystawiała sobie długie godziny, może nawet i doby całe, poprzedzające „heroiczne“ to wystąpienie — tę nieodwołalną „ofiarę!“ I teraz już myślała o „popisie“, czekającym ją, o „komedji“ — z gorzką ironją i wstydem.

Szczególniej chwile te ostatnie... tam... o północy, w otoczeniu, które wybrała sama

cjalistą i że nazwać kogoś tak brzydkiem imieniem znaczy tyle, co potępić go w oczach uczciwych ludzi, jedynie też w interesie prawdy zaznaczam, że między dr. Szymańskim a Beblem, ruchem ludowym a socjalną demokracją niemiecką jest tyle podobieństwa i pokrewieństwa, ile między królową hiszpańską a sułtanem tureckim.

Przedewszystkiem, jak już wspomniałam, nie chodzi tu o sprawy ekonomiczne, ani o ekonomiczną zależność. Materjalnie stoją stosunkowo zwolennicy ruchu ludowego przeważnie lepiej, niż ich przeciwnicy, gdyż są warstwą, dorabiającą się, a tamci zrujnowaną. Jeżeli między niemi znajdują się i tacy, którzy cierpią pod uciskiem kapitału, jestto przeważnie kapitał obcy, gdyż wśród naszego społeczeństwa większych przedsiębiorców, zamożniejszych przemysłowców na palcach jednej ręki policzyć można. Dlatego też walka pracy z kapitałem, stanowiąca rdzeń dążeń socjalistycznych, w ruchu ludowym absolutnie żadnej nie gra roli i dla tego właśnie niema dla niej wogóle gruntu w Poznańskiem, najmniej przemysłowej prowincji z całego królestwa pruskiego.

Drugą cechą odróżniającą ruch ludowy od socjalnej demokracji jest jego wybitnie narodowy charakter, podczas gdy socjalizm na gruncie kosmopolitycznym, międzynarodowym się opiera. Z naszego punktu widzenia jestto cecha dodatnia, choć bezstronnie sądząc, przyznać trzeba, że polega ona poniekąd i na pewnej niższości cywilizacyjnej ludu. Jeżeli pod kosmopolityzmem rozumieć będziemy indyferentyzm narodowy, to cieszyć się musimy, że lud nasz jest od niego daleki, jeżeli jednak obejmiemy tem mianem uczucia, które się odnoszą do wszechludzkich ideałów i dążeń, to wyznać trzeba, że on jeszcze do ich pojęcia, uznania i ukochania nie dorósł.

Nie jestto bynajmniej powód do żalu, zważywszy, że miłość kraju graniczy z miłością ludzkości, a tę ostatnią głosi dziś wprawdzie niejeden, lecz tylko wyjątki sercem i czynem wyznają. Patrjotyzm polski nie jest zresztą bynajmniej z temi ideałami w sprzeczności, a dla nas jest wprost instynktem samozachowawczym, jedyną naszą siłą i jedyną podstawą istnienia, dla tego też na pociechę stwierdzić należy, że gdziekolwiek lud polski do politycznego doszedł znaczenia i roli — wszędzie odrębność swą narodową ściśle zachowuje i śmiało zaznacza. — Nie trzeba jednak mniemać, aby ta cecha narodowa wyróżniała stronnictwo, w około „Orędownika“ się skupiające od innych partji miejscowych. W tym stopniu co „Orędownik“ patrjotycznemi są i inne pisma polskie pod pruskiem panowaniem z wyjątkiem naturalnie „Kurjera Poznańskiego“, który przez samo podporządkowywanie interesów polskich interesom katolickim z konieczności kosmopolitycznej przybiera barwę. Patrjotyzm „Orędownika“ i jego adherentów jest trzeźwym i praktycznym, dla tego też choć z przeciwnego obozu dużo na niego gromów rzucano, nikt nigdy nie zarzucał mu szo-

---

dla większego efektu i siły piorunującej — o! to okropnem będzie dla niej! Nie mniej okropnem, niż dla tamtych... zwierząt. Lecz na to rady już nie było. Tak będzie i tak być musi.

Chociaż tak młoda jeszcze, miała już, niestety, Hala swoje, oryginalne doświadczenie. I na podstawie właśnie doświadczenia tego wiedziała, że zrobi to, co umyśliła, że pójdzie tam i stanie niezawodnie, chociażby naprawdę została na zawsze w tem strasznem miejscu nieurojoną, ale prawdziwą nieboszczką. Wiedziała, że w chwilach podobnych stawała się zawsze najbierniejszą i korną niewolnicą popędu serca — prawie ślepego, prawie nieświadomego, a tak namiętnego i potężnego, że miotał nią dowolnie i wlókł bezwładną w wyżyny, albo pchał w przepaście. Wiedziała, że orkan, szalejący w tem sercu jej dziwnem, albo drogę sobie znajdzie i ujście przebije, albo pierś jej chyba rozsadzi i zmiażdży. Wiedziała, że w chwili wybuchów takich niepohamowanych i sama wola jej stawała się tak niepohamowaną, a tak dyktatorską, że przed nią cała istota jej chylić się musiała w bezgranicznej pokorze.

Więc też i teraz korzyła się z uległością żołnierza wobec wodza kapryśnego, wobec władcy bez apelu. Więc też drobnemi, nerwowemi rączkami oplotła kolana, zgięła się prawie we dwoje, a pyszne czarne źrenice, w których płonęła zwykle i skrzyła się cała świetna jej wyobraźnia żarem jakimś podzwrotnikowym, utkwiła w tę przyszłość jutrzejszą — w przyszłość tak szybko się już nasuwającą, że cień od chmury owej ją owionął i nawskróś całą przeniknął.

I jęła wówczas rozmyślać, a nawet plan układać. Rzecz dziwna, że w niespokojnym, fantastycznym, w napółdziecinnym tym mózgu, w razach podobnych powstawał zwykle z szczególną wypukłością plan tego lub owego działania, subtelnie, rozważnie w drobnostkach nawet obmyślany, chociaż prowadził ją często nieledwie do szaleństwa. Z szybkością błyskawiczną wystawiała sobie każdą przeszkodę, przewidywała tę albo inną okoliczność. A ta wierna, skrzydlata jej wyobraźnia — tyran i dobroczyńca zarazem, fruwała nad nią bezustanku, malując wszystko, co miało wnet nastąpić, z jaskrawą prawdą, albo jaskrawem prawdy tej złudzeniem — i rozwijając przed

winizmu. Raczej dawały się słyszeć zarzuty przeciwne, nazywano go nawet, „szwarcweisserem“ i podsuwano podejrzenie, że otrzymuje subwencją rządową.

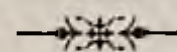
Działo się to w owym czasie, gdy reprezentacja nasza w Berlinie trzymała się taktyki bezwzględnej opozycji i za inicjatywą ś. p. Niegolewskiego w interpelacjach swych i protestach powoływała się na traktaty wiedeńskie. „Orędownik“ zwalczał tę politykę nie pozbawioną pewnego zasadniczego znaczenia, lecz zresztą jałową i nie prowadzącą do celu. W ogóle pierwsze objawy ruchu ludowego. pierwsze zachcianki samodzielnej krytyki wśród ludu zwróciły się przeciw ówczesnej gorączce wielkiej polityki, dążącej do ciągłego manifestowania naszego stanowiska wobec Europy, która się temi rzeczami zupełnie interesować przestała. Najzagorzalszym zwolennikiem tego kierunku był „Goniec Wielkopolski“ — i on to właśnie najzawzięciej ścigał „Orędownika“ i on też przydomek „szwarcwajsera“ mu nadał. Ruch ludowy był wówczas jedynym u nas reprezentantem, jeśli nie ugodowego, to optymistycznego i trzeźwego kierunku. Dążył prócz tego do przeniesienia punktu ciężkości naszej sprawy z Berlina do kraju, do poddania reprezentacji naszej pod kontrolę i kierunek wyborców, a nie odwrotnie, jak się dzieje dotychczas, do zwrócenia baczniejszej uwagi na nasze domowe, zwłaszcza ekonomiczne interesa. Ponieważ przy tej okazji z uznaniem wyrażał się o kulturze niemieckiej — więc słowa jego nieraz raziły tych, co robotę kulturtraegerów tylko z ujemnej poznali strony.

Przez nagłą zmianę w polityce wewnętrznej Niemiec i w postawie Koła polskiego w Berlinie — uległ też zmianie wzajemny stosunek naszych domowych stronnictw. Jak dawniej zwalczał opozycją quand même, tak później zaczął „Orędownik“ zwalczać prądy ugodowe i hyperlojalizm, który po mianowaniu arcybiskupem rodaka coraz bardziej szerzyć się począł. Niektórzy poczytują to za zmianę kierunku, ja widzę w tem tylko dowód tej samej trzeźwości i praktyczności, która w ruchu ludowym manifestowała się i w pierwszej epoce.

(Dok. nast.).



Sprawa niemadziarskich narodowości Węgier.



Wystawa peszteńska i uroczystości, połączone z obchodem tysiącletniej rocznicy założenia państwa węgierskiego, zwróciły powszechną uwagą na sprawy zalitawskiej części monarchji Habsburgów. Prawie wszystkie pisma europejskie z zajęciem śledziły przebieg uroczystości węgierskich, podniosły wspaniałość wystawy peszteńskiej, podziwiały rozwój polityczny i kulturalny narodu węgierskiego, ale tylko bardzo nieznaczna część ich uznała za stosowne wspomnieć o po-

---

nią bogate i różnorodne środki dojścia do upragnionego celu.

Lecz nigdy dotąd nie było jej tak trudno, tak gorzko, tak straszno... i co najsmutniejsza — nigdy jeszcze nie wstydziła się do takiego stopnia... Tak, teraz płonęła wstydem!

I też nigdy nie było tak boleśnie... Nawet wtenczas, gdy drżącą dłonią rzuciwszy list na biurko ojca, biegła na pociąg, a w oczach jej stawała wciąż bardzo zdziwiona i bardzo nieszczęśliwa twarz dla niej najbliższa i najdroższa, twarz tego, który żyć dalej musiał bez swojej „gwiazdki“, „kwiatka“, „gołąbki“, jak ją nazywał w banalnym swym, poczciwym języku niewykształconego i... niedalekiego człowieka. Nie wiedział nawet dokąd odeszła, chociaż wiedział napewno o tem, że poszła drogą i czystą, i szlachetną. Tak mu też napisała i nie wątpiła, że chociaż smutny, był o nią spokojny. Nie wyjawiła mu nawet z początku dokąd ucieka, gdyż obawiała się pokusy... listów... przyjazdu. Obiecała tylko, że za parę miesięcy powróci na wakacje. Spragniona ofiary, biegła do zapadłego zakątka Beskidu, dowiedziawszy się, że mroczna ta jaskinia górska nie posiada i tego jedynego ogniska — jakiem jest szkoła wiejska, bo w pustym i nędznym budynku od lat już kilku żaden nauczyciel nie gościł.

A więc Hala porwała się z bolesną roskoszą do pierwszej ofiary swojej „dla ludzkości i społeczeństwa“, jak uparcie powtarzała sobie w duchu. Uciekła pewnego zimowego wieczoru z pod ojcowskiego dachu z oczami pełnemi łez, rzucając ciepłe gniazdo rodzinne, ale też z przesadną, dziecinną, a ogromną pychą. Poświęca się dla dobra ogółu! Poświęca drobne uczucia filisterskie dwóch nędznych jednostek dla setek krzywdzonych i upośledzonych.

Nie zwykłą też będzie nauczycielką wiejską. Przecież tak dużo i tak namiętnie uczyła się i czytała, wchłaniając napotkaną wiedzę z chciwością i z zapałem. Pomimo smaku niewyrobionego i powierzchownych sądów swoich, czuła i rozumiała aż nadto dobrze, iż niektóre zakątki tej wiedzy otwarły się przed nią szeroko i wspaniale, gdy drugie natomiast w głębokiej ciemni tonęły. Wierna kapryśnej swej

łożeniu niemadziarskiej ludności Węgier. Protesty przeciwko obchodowi tysiąclecia, podnoszone przez Rumunów, Serbów, Słowaków, Rusinów i Chorwatów, tylko słabem echem obiły się o pisma europejskie; a jednak protesty te świadczą, że znaczna większość ludności Węgier nietylko nie współczuła z „ogólno-narodową" uroczystością, ale była wręcz jej przeciwną. Protesty te dowodzą, że i na Węgrzech istnieje gorąca walka narodowościowa, która z czasem może zmienić do niepoznania charakter polityczny dziedzictwa św. Stefana. Warto więc przyjrzeć się tej walce bliżej, warto poznać jej cechy znamienne, ażeby móc zrozumieć, ce przyniesie ona Węgrom w przyszłości i jak wpłynie na ukształtowanie się stosunków wewnętrznych tego kraju.

Ludność Węgier jest tak samo różnorodna, jak i ludność Przedlitawji. Słowacy, Rusini, Rumuni, Serbowie i Chorwaci otoczyli ze wszystkich stron madziarski obszar etnograficzny i nawet pokryli go miejscami dość gęsto swemi kolonjami. Wszystkie miasta węgierskie liczą wcale poważny odsetek ludności niemadziarskiej. Stan średni węgierski jest w znacznej części reprezentowany przez żydów. Wielki kontyngens robotników stanowią Słowacy. Bardzo pokaźna ilość Niemców w Siedmiogrodzie, kilkadziesiąt tysięcy Polaków na Spiżu i wśród Słowaków na Orawie, nareszcie kolonje bulgarskie i czeskie — nadają Węgrom charakter jakiejś mozajki etnograficznej.

Jednakże narodowością panującą i korzystającą *de facto* ze wszystkich praw, zagwarantowanych przez konstytucję, są Madziarowie, którzy wyrobili w sobie zmysł polityczny, jakiego brak zupełnie innym narodowościom, w skład państwa węgierskiego wchodzącym. Jedyny chyba wyjątek stanowią Rumuni, to też cały ruch anti-węgierski, który się ogromnie ożywił w ostatnich czasach, zawdzięcza swe powstanie i istnienia właśnie Rumunom. Ci podjęli się energicznej agitacji za pomocą prasy, zgromadzeń, petycji, deputacji, zainteresowali swą sprawą opinję publiczną Europy i poruszyli Słowaków, tudzież Serbów i nakłonili ich do podjęcia wspólnej akcji politycznej...

Plemię madziarskie, przyszedłszy do Europy (w IX st.), zastało już było ludność słowiańską w Węgrzech północnych, to też Słowacy i Rusini należą do państwa węgierskiego od czasu jego założenia. Całkiem inaczej rzecz się ma z innemi narodowościami Węgier dzisiejszych. Chorwacja połączyła się dobrowolnie z państwem węgierskiem na początku XII-go stulecia, kiedy król węgierski Koloman, z dynastji Arpadów, został obrany za króla chorwackiego. Siedmiogród rumuński został ostatecznie przyłączony do Węgier r. 1699, a Banat serbski dopiero w r. 1718 na mocy traktatu Pożarewackiego.

Wbrew wszystkiemu, czego usiłują dowieść patrjoci węgierscy najświeższych czasów, państwo węgierskie nigdy nie posiadało charakteru madziarskiego. Na tronie węgierskim siedzieli królowie rozmaitych narodowości: Słowianie, Rumuni, Niemcy i Włosi. Ani w literaturze, ani w zabytkach sztuki lub pomnikach życia religijnego, ani w prawodawstwie aż do schyłku ubiegłego stulecia, nie było nic specjalnie madziarskiego. Językiem urzędowym był łaciński. Łaciną też posługiwała się szlachta i inteligencja. Przez wyraz *„gens"* w *Corpus juris* rozumiano wszystkich mieszkańców Węgier bez różnic szczepowych. Wyrazu *„nationes"* używano na oznaczenie poszczególnych narodowości Węgier, narodowości całkiem równouprawnionych, ani nie posiadających przywilejów jakichś, ani nie różniących się pod względem prawnym. Odróżniano tylko autochtonów *(nativi)* od przybyszów, nie korzystających z praw obywatelskich.

Pod koniec XVIII-go stulecia i wśród Węgrów poczęła się budzić świadomość narodowa. Powołały ją do życia głównie reformy cesarza Józefa II-go, posiadające charakter centralizacyjno-germanizatorski. W r. 1784 Józef II-gi ogłosił reskrypt, na mocy którego język niemiecki zastępował dawną łacinę i stawał się językiem panującym. W ciągu lat trzech Węgrzy powinni byli wprowadzić niemczyznę do wszystkich instytucji urzędowych. Jednakże nie doszło do tego, gdyż tak ze strony Węgier, jak i ze strony Chorwatów podniosły się gromkie krzyki protestu. Węgrzy i Chorwaci obstawali przy dawnej łacinie, a ich protesty były tak energiczne, że rząd zmuszony był do

---

i fantastycznej naturze w niektórych dziedzinach zapędzała się aż pod niebiosa, drugie zaś deptała naiwnie stopą pierwotnego barbarzyńcy. Żadna dłoń kierująca nie wiodła jej przez labirynty. Urzędnik-ojciec zbyt mało był wykształcony, ciotka z natury i poziomu umysłu podobna do legendarnej sługi staro-szlacheckiej, chociaż nią nigdy nie była. Szczupłe środki pozwalały Hali korzystać tylko z elementarnych wskazówek i elementarnych przewodników. Czytała więc i uczyła się ulubionych tylko rzeczy, sama, puszczając wodze barwnej i bogatej wyobraźni swojej. Rdzeń jej istoty — właśnie wyobraźnia owa, rozwinięta kosztem innych czynników jej ducha, wprowadzała ją w światy bajeczne, albo co najmniej szczególne, a że światy takie należały więcej do przeszłości, zwracała się ku niej przeważnie.

(C. d. n.). *Janina Baudouin de Courtenay*



wycofania reskryptu. Zakusy germanizacyjne Józefa II-go zwróciły uwagę Węgrów na sprawę języka urzędowego. Najprzezorniejsi z nich zrozumieli, że wcześniej, czy później łacina utraci swe prawo, to też pomyśleli nad tem, ażeby ją zastąpić nie językiem niemieckim, jak chciał rząd austrjacki, ale węgierskim. Rozpoczyna się więc czynność gorączkowa w tym kierunku. Ponieważ język węgierski całkiem jeszcze nie był wyrobiony i wskutek tego nie mógł współzawodniczyć z jakimkolwiekbądź językiem kulturalnym, więc grono patrjotów węgierskich poczęło pracować nad rozwinięciem narzecza ludowego, nad wzbogaceniem go w słownictwo naukowe i t. d. Ukazują się pierwsi węgierscy pisarze narodowi, powstają pisma węgierskie. Pomału język węgierski poczyna gdzieniegdzie wypierać łacinę. Tak np. arystokracja węgierska, coraz częściej używa swego języka rodowego w stosunkach towarzyskich.

I w Chorwacji wszechwładna naonczas warstwa arystokratyczna, niechętnie przyjmowała reformy Józefa II-go, głównie z powodu dość radykalnego (w kwestjach religijnych i społecznych) ich charakteru, ale myśl zastąpienia łaciny jakimś innym językiem nie przychodziła jej do głowy. Arystokracja chorwacka tak się była przyzwyczaiła do języka łacińskiego, iż uważała go za swój rodzimy; w obronie łaciny występowała ona razem z węgierską i nawet jeszcze energiczniej. Słabe pierwociny literatury narodowej chorwackiej owego czasu nie mogły się mierzyć nawet z tem, co już posiadali Węgrzy, to też o jakimś szerszym ruchu narodowym Chorwatów nie było ani mowy.

Po śmierci Józefa II-go i Węgrzy i Chorwaci coraz energiczniej protestują przeciwko zakusom centralizatorskim Wiednia. Chorwaci idą ręka w rękę z Węgrami, ale już wkrótce poczynają spostrzegać, że ruch narodowy Węgrów zaczyna skierowywać się również i przeciwko Chorwatom. Już w r. 1790, t. j. wkrótce po zwołaniu sejmu ogólno-węgierskiego, znaczna część deputowanych węgierskich zączęła domagać się wprowadzenia do sejmu języka węgierskiego i żądała nawet, ażeby protokoły posiedzeń sejmowych prowadzono tylko po węgiersku. Żądanie to napotkało na nadzwyczaj ostrą opozycję. Przeciwko niemu powstali nawet niektórzy z pomiędzy deputowanych węgierskich, dowodząc, że zastąpienie powszechnie znanej łaciny językiem węgierskim, który posiada tylko pewna część posłów rdzennie madziarskich, usunie od wszelkiej działalności społecznej i politycznej przeważną część członków sejmu węgierskiego.

Protest Chorwatów wywarł wpływ na decyzję sejmu. Węgrzy zagwarantowali im prawo przemawiania po łacinie nawet w tym wypadku, gdyby cesarz zgodził się na wprowadzenie języka węgierskiego do sejmu. Co do protokołów, to te miały być prowadzone po węgiersku, ale specjalnie dla Chorwatów miano dodawać przekład łaciński. Chorwaci protestowali przeciwko natychmiastowemu wprowadzeniu języka węgierskiego do sejmu głównie ze względów praktycznych, lecz w zasadzie nic nie mieli przeciwko temu, ażeby język węgierski z czasem zapanował w całej Chorwacji.

Ale świadomość narodowa zaczynała zwolna rozszerzać się i potęgować i u Chorwatów. Arystokracja poczyna mówić po chorwacku (czyli po „iliryjsku“, jak się wówczas wyrażano), a kiedy sejm węgierski postanowił zaprowadzić we wszystkich średnich i wyższych zakładach naukowych wykład węgierski, sejm zjednoczonych królestw Chorwacji, Dalmacji i Slawonji, wysunął żądanie wprowadzenia „narzecza iliryjskiego“ do wszystkich gimnazjów, akademji i uniwersytetu Chorwacji. Od tego czasu rozpoczęła się walka Chorwatów z Węgrami o prawa językowe, walka, która powołała do życia świetną „iliryjską“ dobę literatury południowo-słowiańskiej, a z drugiej strony doprowadziła do orężnego starcia się dwóch narodowości w roku 1848-ym.

Żądania Węgrów wciąż wzrastały. Umieli oni skorzystać z kłopotliwego położenia, w jakiem znalazła się Austrja w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia i postarali sie o pewne ustępstwa, zwiększające ich samodzielność. Węgrzy skierowali swe usiłowania ku wprowadzeniu języka węgierskiego do szkół całych Węgier. Udało im się to prawie wszędzie, tylko Chorwaci oparli się temu, to też w szkołach chorwackich język węgierski stał się przedmiotem tylko nadobowiązkowym.

Na sejmie preszburskim r. 1805, podczas wojny Austrji z Napoleonem, kiedy rząd wymagał od deputowanych, aby ci pozwolili ogłosić pospolite ruszenie, Węgrzy jeszcze raz pokusili się o narzucenie Chorwatom języka węgierskiego. Ci jednak zaprotestowali przeciwko temu i odpowiedzieli żądaniem, by i język chorwacki otrzymał te same prawa, jakich domagają się dla swego języka Węgrzy. Powstało zamieszanie ogólne, spór chorwacko-węgierski przybrał charakter bardzo ostry, tak że niektórzy z posłów chorwackich zagrozili Węgrom tem, że Chorwaci poczną bronić swych praw z orężem w ręku, jeżeli Węgrzy nie zechcą ustąpić dobrowolnie.

Po bitwie austerlickiej, Austrja utraciła część Chorwacji, Dalmacji, Tyrol, Wenecję, część Styrji i Istrji. Stosunek procentowy Węgrów do pozostałej ludności prowincji węgierskich zmienił się na niekorzyść ludności niemadziarskiej. Węgrzy skwapliwie skorzy-

stali z tego i użyli wszelkich, dostępnych dla nich środków, aby zastąpić łacinę i języki ludności niemadziarskiej — węgierszczyzną.

Tymczasem w Dalmacji i Istrji rząd francuski przyczyniał się ogromnie do rozbudzenia poczucia narodowego Chorwatów i Słoweńców, zakładając szkoły z miejscowym językiem wykładowym i nawet organ urzędowy chorwacko-włoski. Kiedy Napoleon sformował z prowincji od Austrji odebranych t. z. prowincje Iliryjskie, to i tam zaprowadzono w szkołach wykład w języku chorwackim lub słoweńskim. W Lublanie począł wychodzić dziennik, drukowany w czterech językach: francuskim, włoskim, niemieckim i słoweńskim. To opiekowanie się rządu francuskiego językami ludności rdzennej, nie mogło pozostać bez wpływu na uszczuploną Chorwację *).

(Dok. nast.). *Leon Wasilewski.*



Nadbrzeżne fale.

Obrazek z życia.

(Dokończenie).

On wie, że tuż za progiem tych drzwi czeka go śmierć haniebna, okrutna — on wie, że lada chwilę otworzy drzwi kościstą swą dłonią i nie wyrwie się już z jej uścisku. Ale w duszy jego niema miejsca na osobiste uczucia i myśli. Nie żali się nad sobą, ani nie drży przed tem, co spotkać go może — co spotkać go musi.

Zapatrzony w dal widzi miljony istot ludzkich jemu podobnych — ale dzikich, ciemnych, głodnych. On ukochał te masy całą duszą młodą i namiętną. Poświęciłby dla nich sto istnień, gdyby je miał i sto razy głowę dobrowolnie pod stryczek nachylił. On dla tych tłumów chce światła — swobody i chleba. Z nieba samego wykradłby słońca promienie i z łona ziemi wydarł wszystkie jej skarby, byle w te ciemne dusze iskry boże rzucić — byle mękę tych strudzonych i zgłodzonych ciał złagodzić. A do tych dusz tak trudno trafić — tak trudno zbudzić je z letargu, w którym pogrążyła je wiekowa nędza i ciemnota. A ciała te takie brutalne i niskie mają żądze, że pofolgować im nie można, bo one tylko dziki instynkt znają.

Ściska czoło ruchem gwałtownym, namiętnym.

„Jak przemówić do nich, żeby zrozumieli? szepcze: „Jak przygarnąć, żeby odczuli ten żar co piersi nasze rozgrzewa i uwierzyli nam? Jak wyzwolić ich z tej ciemnoty ducha — z tej niewoli ciała?"

Przypominają mu się pojedyncze postacie. Natury proste, uczciwe, szlachetne. Otucha wstępuje do jego duszy. „Będzie ich takich więcej, coraz więcej — ludzkość odrodzić się musi". Ogromna miłość i zapał niespożyty przepełniają pierś jego otuchą i nadzieją. Oczy błyszczą coraz silniej — usta rozchylają się półuśmiechem, serce bije radością ziszczonych snów. Biedny marzyciel!

Na korytarzu zabrzęczały pałasze. Głuchem echem odezwały się sklepienia, zbudzone szorstkiemi głosami żołdaków.

„Żandarmi" — wyszeptał. Drgnął lekko, pobladł nieco i cicho, bez pospiechu i trwogi podszedł ku drzwiom. Przyczaił się przy samej framudze, jak kot, gotujący się do skoku czekał.

Zaczęto dobijać się do drzwi — najprzód łagodniej, potem gwałtowniej, w końcu z piekielną wrzawą głuchych uderzeń i wrzaskliwych przekleństw. Drzwi wyważone rozpadły się z trzaskiem, i ukazały się w nich bagnety żandarmów, oraz wystraszone twarze kobiet, które wybiegły na korytarz, aby zobaczyć, co się dzieje. W tejże chwili młodzieniec ruchem jak myśl szybkim, jak lot jaskółki zwinnym, przemknął pod rękami żandarmów — roztrącił przerażone kobiety i zbiegł ze schodów.

„Łapać, łapać!", rozległ się tętniący krzyk żandarmów, którzy tejże chwili puścili się w pogoń.

„Łapać, łapać!", powtórzył tłum. Zrozumiał zaraz, że to o przyrzeczoną nagrodę idzie — o tę zapłatę, którą każdy uważał już za swoją — i biegł pochwycić ją, wydrzeć z rąk drugich choćby przemocą.

Nie biegnie tak jeleń, ścigany przez sforę psów gończych, nie leci tak skowronek, na którego jastrząb spada z obłoków, jak uciekał ten chłopak, pragnący uratować życie dla dobra tłumu, który pędził za nim. A tłum ten, zwiększający się z każdą chwilą, ścigał go z zajadłością chartów, spuszczonych ze smyczy, z żądzą krwi zgłodniałego jastrzębia.

Młody człowiek biegł w stronę morza. Lotny, jak ptak, zwinny jak łasica, wymykał się z rąk i omijał przeszkody. Wiatr rozwiewał mu długie, jasne włosy, tworząc z nich

*) W skład państwa Iliryjskiego prócz Karyntji, Styrji, Krainy, Triestu i Istrji weszła i część Chorwacji aż po Sawę.

nad jego głową świetlaną aureolę. Oddech stawał się coraz krótszy — krew zalewała mu głowę i oczy, usta i język spaliły się w jednej chwili na węgiel. Nie ustawał jednak i biegł coraz chyżej, jakby mu skrzydła u nóg wyrosły.

Błękitne, jasne morze, nęcące chłodem, z blaskiem i ciszą coraz bliżej, coraz bliżej.

On nie pragnie już życia, tylko nie chce zginąć z rąk tych, których ukochał, a którzy biegną tuż za nim, krzycząc coraz zajadlej: „Łapać, łapać“.

On już nie myśli, nie czuje, tylko tej wody pragnie, co błyszczy tam przed nim, tej ciszy i tego chłodu. Przygarną go te fale nadbrzeżne, które tak jak on, rozbijają się o twarde łono ziemi. Tyle razy gadał z nimi jak z druhami, tyle razy odczuwał w nich, poznawał swoich towarzyszy. Chwilę jeszcze, a dopadnie brzegu, rzuci się w te modre wody, przytuli się do ich chłodnych piersi — odpocznie...

Nagle na karku swoim poczuł dłoń twardą i oddech gorący. Jednocześnie nad uchem jego głos chrapliwy, tryumfujący wrzasnął:

„Złapałem“.

Tejże chwili sto rąk czepiło się jego ubrania, włosów, ciała — sto głosów zaczęło wołać gwałtownie, namiętnie:

„Złapałem. złapałem“.

W mgnieniu oka rozszarpał tłum jego odzienie i zaczął drzeć żywe ciało. Wydzierano go sobie. Każdy chciał zdobyć prawo do otrzymania nagrody. Każdy dyszał dziką, zwierzęcą żądzą krwi tego człowieka. Byliby go rozszarpali na kawałki, gdyby żandarmi nie odbili go przemocą z rąk oprawców.

Tłum cofał się przed nastawionemi bagnetami, podczas kiedy słaniającemu się ze zmęczenia męczennikowi zakuwano ręce i nogi w kajdany. Wyrwano go z rąk tłuszczy, bo on przecież nie mógł zginąć tak marnie na ulicy. „Po ukazie“ jemu należała się śmierć na szubienicy, ze stryczkiem zadzierżgniętym na szyję, ze złamanym przez kata hardym karkiem, który nie chciał ugiąć się przed wolą cara.

Cofająca się przed żandarmami gromada zziajana — podniecona, rzucała nienawistne spojrzenia i namiętne przekleństwa w stronę skazańca. On wyczerpany, chwiejący się na nogach, z twarzą szarą, jak piasek wybrzeża i zagasłemi oczami objął wzrokiem te zmysłowe, rozczochrane, półpijane głowy. W oczach jego błysnął ogień bezmiernej litości, i nadziemskiego bolu. Kochał ich jeszcze. Żałował, że raz tylko umrzeć za nich może.

* * *

Morze, wzburzone niedawno jeszcze i groźnie huczące, ucichło nagle. Powierzchnia jego wygładziła się, a niezmierzona głębina, w której łonie miljony istot żyje, walczy i umiera, oddycha cicho, spokojnie, jak niemowlę, drzemiące przy piersi matki.

Tylko nadbrzeżne fale z namiętnym szumem biją jak przedtem o twarde łono ziemi. Ona zdaje się urągać ich wytrwałości, w martwocie swej nieubłagana, niespożyta. A żywe fale uderzają wciąż, bez wytchnienia w zimną pierś skał nadbrzeżnych. Niektóre łamią się i z rozbitej piersi tryskają miljonem iskier w powietrze. Inne, odepchnięte po sto razy przez, ląd powracają. Odtrącone z szyderstwem i wzgardą rzucają się na nowo drgającem czołem na martwe opoki. Ziemia drży od ich uderzeń — miejscami pęka — rozpada się i zsuwa się w głębinę, a po nad nią zwycięzkie fale ze zdwojonym szumem prowadzą dalej swoją robotę. Chwilami cichną, jakby znużone i zniechęcone, ale wnet dreszcz jakiś, jakby od głębin idący, wstrząsa nimi na nowo i zapał ich podnieca.

Dalej, dalej, praca wasza nie idzie na marne. Wszak wy zwolna, nieznacznie zmieniacie kształt ziemi.

Marja Turzyma.



Błędy językowe.

21. Nie mówmy: *znachodzić się*, *pisemny*, *nadojeść*, *rozliczać na*... *rozmienić* (pieniądze), przepuścić (w znaczeniu *opuścić*), *rzędem z*... w znaczeniu *obok*), ale mówmy i piszmy: *znajdować się*, *piśmienny*, *dojeść* albo *dokuczyć*, *liczyć na*... *rachować na*... *wymienić* albo *zmienić* (pieniądze), *opuścić*, *obok*. *Rzędem* znaczy *szeregiem*, *ordynkiem*, ale nigdy *obok*.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie